

# La Janda

TEATR LUDOWY. Na gościnnych występach

**K**iedyś śpiewaczki, baletnice i aktorki marzyły o chwili, kiedy przestanę się o nich mówić i pisać z imienia i nazwiska, a zaczną używać nazwiska poprzedzonego rodzajnikiem „la”. Wtedy wiedziały, że są supergwiazdami.

Na gwiazdę się chodzi, to jej nazwisko ma moc przyciągania, to ona skupia uwagę widowni. Co ma zrobić gwiazda w erze gry zespołowej, gdy nie wystarczy nawet najwspanialsza Ofelia, żeby „Hamlet” był uznany za wielki spektakl? Janda wybrała słuszną drogę – od lat gra w monodramach (nawet gdy na scenie towarzyszą jej partnerzy, pełnią oni funkcję tła). W Krakowie pokazała trzy spektakle – „Marlenę”, „Shirley Valentine” i „Marię Callas”. Występy te są częścią wielkiego tournée w starym stylu – przez sto dni pozostałe do końca roku (i tysiąclecia) będzie objeżdżała Polskę, pokazując, jak głosi reklamowe hasło, „sto twarzy”. Twarzy sto, ale wiadomo, że widzów usatysfakcjonuje jedna – Krystyna Janda. Bo czy to las, czy Shirley Valentine, czy Sienkiewicz, obejrzyć ulubioną gwiazdę, która w przeciwieństwie do odtwarzanych przez nią postaci jest żywa i nie wymyślona.

Sztuki, w których wystąpiła Janda, nie są najwyższych lotów. Najlepsza z tej trójki jest niewątpliwie „Shirley Valentine” Willy’ego Russella, historia prostej kobiety w krytycznym wieku czterdziestu lat, która nagle odkrywa niajkosć swego kuchennego życia i postanawia odnaleźć siebie. Rozmawia ze ścianą, jedyną, która chce jej słuchać, bo ani mąż, ani dzieci, ani otoczenie już tego nie potrafią. Ścianą jesteśmy oczywiście my, widzowie – i słuchamy jej z zainteresowaniem, śmiejemy się, klaszczemy, wzruszamy się, utożsamiamy z bohaterką. Ameryki ten dramata nie odkrywa, ale nie ma też takich zamiarów – wystarczy nam kibicowanie Shirley i radość, że znalazła ona wreszcie swojego Krzysztofa Kolumba, który odkrył dla niej rozkosz kobiecości.

„Marlena” Pam Gems i „Maria Callas” Terrence’a McNally’ego mają za bohaterki legendarne gwiazdy i opowiadają o ich losach w sposób niemal identyczny. Obie za punkt wyjścia obierają podobne sytuacje: i Dietrich, i Callas znajdują się u kresu życia i kariery. Dietrich przed jednym z ostatnich koncertów w Paryżu, Callas – w trakcie lekcji mistrzowskich prowadzonych dla młodych śpiewaków w nowojorskiej Juilliard School. Staje się to pretekstem do snucia wspomnień, wyznani na temat życia osobistego, kariery, ceny, jaką płaci się za karierę, samotności artysty, wzajemnej miłości (i nienawiści) publiczności i diwy itd., itp. Refleksje te są dosyć oczywiste, nie sięgają głębiej niż to, co można przeczytać w pismach ilustrowanych, i zapewniają widowni poczucie komfortu. Wszystko to znamy, wiemy, że los artysty łatwy nie



Krystyna Janda jest gwiazdą. Kto miałby co do tego wątpliwości, powinien wybrać się do Teatru Ludowego.

jest, że gwiazdy bywają nieznosne (zaraz nam wyjaśnią, że mają do tego głębokie powody), ale przyjemnie jest raz jeszcze w tym przekonaniu się utwierdzić. „Żyłam sztuką, żyłam miłością” – śpiewała Toska w operze Pucciniego, i te słowa mogą być najkrótszym streszczeniem obu dramatów. Monologi są napisane błyskotliwie, pointa goni pointę, miejsca na śmiech, wzruszenie i złote myśli są z góry zaprogramowane (co po pewnym czasie staje się cokolwiek męczące, ale takie są reguły gatunku). Zaprogramowana jest też nasza rola, rola widzów. Jesteśmy i publicznością koncertu Dietrich-Jandy, i publicznością lekcji Callas-Jandy. Bijemy brawo jako my i jako oni, tak jak Janda jest i sobą, i Dietrich czy Callas.

Oczekujemy też na przeistoczenie artystki. Jako stara, przygarbiona i zrędlawa Marlena, Janda przygotowuje się do koncertu (rzecz dzieje się w garderobie), więc koncert musi się odbyć. Janda kiedyś brawurowo udowodniła, że nie potrafi śpiewać, wspaniale wykonując „Gumę do żucia”, więc jak poradzi sobie z repertuarem Marleny, która niewątpliwie śpiewać potrafiła? Janda wybrnęła znakomicie – w drugiej części spektaklu wyszła na scenę pięk-

na i promienna, w sławnej lśniącej sukni, łabędzim płaszczu i peruce, ale przedstawiła się jako ona, nie Marlena, i nie udawała Marleny. Opowiadała o niej i o swoim nią zafascynowaniu. Zaśpiewała kilka piosenek, dyskretnie dając do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę z tego, iż Marleną nigdy nie będzie. Żeby rozwiązać wątpliwości: oczywiście jako Callas nie zaśpiewała – tego zresztą nikt by od niej nie wymagał: w spektaklu zabrzmiały dwa autentyczne nagrania śpiewaczki.

Krystyna Janda jest gwiazdą. Kto miałby co do tego jakieś wątpliwości, powinien zobaczyć wypełnioną po brzegi salę Teatru Ludowego, posłuchać rozmów widzów, śmiechów przy pointach, ciszy w momentach refleksyjnych, owacji na stojąco. Janda panuje nad widownią, która idzie za nią jak po sznurku. We wszystkich rolach jest pełna uroku, zabawna i wzruszająca, dojrzała i dziecienna, prosta i wyrafinowana, bezbronna i złośliwa. Portrety jej bohaterek są wykonane subtelnie i profesjonalnie, a że przypominają wyretuszowane fotografie, to już trudno. Taki jest materiał literacki, taki rodzaj teatru, takie oczekiwania widowni. Wszyscy są zadowoleni.

JOANNA TARGON